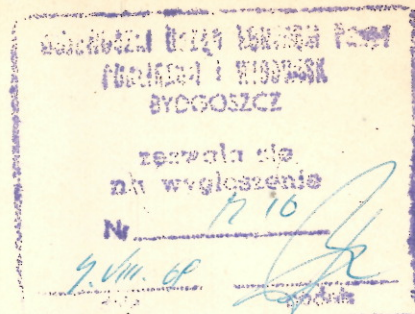


TEMA T W S Y M F O N I I
=====



Wyobraża to sobie tak: zbierze ich kiedyś wszystkich, posadzi

w równych rzędach, wtedy z tyłu, z przodu, po bokach zapalą się jakieś ekrany, na których ujrzą w przepięknych kolorach podaną całą prawdę o niej, a oni, ci jej krewni będą i siebie także oglądali, będą tłem ciemnym i ponurym, akompaniamentem w moll przerywanym od czasu do czasu rześkim dysonansem. Tak się zamysła: cała prawda o niej? A cóż to właściwie jest?

Może to niebo nad miastem, szaro-różowy pas zachodu, śmigłe wieże na tym tle, jaskółki niczym lotne czarne krzyże i cisza, słyszy ją jeszcze, bo tę się słyszało i to uczucie, dla którego nie ma nazwy, bezpowrotności może i jego kroki szybkie przez to miasto nie jej, przez te uczucia nie do nazwania, kroki ojca Anny, wtedy żywego jeszcze, którego moja pamięć - mawiała - każdego dnia uśmierca, jak gdyby końca nie było tej bezbolesnej agonii. Gwizdał urywek symfonii Schuberta, wtedy nie wiedziała, że to Schubert i znacznie późniejsze odkrycie tego napełniło ją dumą nie z Schuberta, a z ojca. Jakże był młody i silny, kiedy podnosił ją - bo do niej, tak pogwizdując szedł - wysoko, ziemia zawirowała a miasteczko wywinęło na niej salto,

303

szkoda, że nie karkołomne. Wieczorem leżąc w małym pokoiku, do którego wszelkiego autoramentu strachy, trupie głowy i diabelskie kopyta pchały się każdej nocy, słyszała jak ojciec mówił do babci i ciotki Rozalki: - Zostawiamy więc wam naszą małą dopóki się to świństwo nie skończy a niemożliwe jest, aby wojna miała trwać długo. Ale jak ona się tu sprawuje? - Cisza tym razem wprost nabrzmiwała, aż rozdarta ostrym głosem ciotki Rozalki pękła: - Trudne dziecko, właściwie niedobre dziecko, kłamie! Nie pamięta co było dalej, bo właśnie ma genialny w jej odczuciu pomysł, w cudowny wręcz sposób ukazuje się jej prawie dostrzegalnie papierowy anioł, który wisiał na choince w ich domu, otóż ten niebiański obywatel oprócz skrzydeł miał także głowę z przymkniętymi oczami i skrzyżowane modlitewnie o długich palcach dłonie. Jeśli zrobię tak samo - myśli - wtedy kiedy wejdzie ciotka, a wchodzi zawsze przed nocą i sprawdza czy ona śpi - i zastanie ją w tej pozie... Ciotka rzeczywiście wchodzi, Anna plasuje się w wyobrażony sposób i nagle jej złożone ręce rozrywają palce tamtej - nie udawaj - syczy z pogardą - komendantka - dodaje w oburzeniu - bowiem dla Rozalki liczy się prawda, tylko prawda.

Od czasu kiedy ojciec szedł pogwizdując do czekającej na niego Anny mijają trzy lata. A teraz pada śnieg, wielkie płaty, jak w filmie i miasto ubrane w śnieg bez przerwy padający pięknieje, pięknieje... Anna biega po plantach, biegnie jeszcze dalej do parku, drogą w dół, śnieg jaśnieje w mroku, a w pozie wyrażającej zachwyt z czapką śniegu na czapce stoi niemiecki oficer, gapi się na miasto w górze zarysowane zaledwie żółtymi plamami świateł, Anna nagle przestraszona znów słyszy tę ciszę, tę od zachodów nad miastem, więc wraca ciągle biegnąc do domu. Na pluszowej kanapie, zielonej w różowe wyblakłe kwiaty, pod obrazem w czarnych ramach przedstawiającym fragment bitwy pod Grunwaldem, siedzą ciasno przy sobie, niczym w teatrze, dwie długie i chude postacie: babka i ciotka, w rękę trzymają chustki, są ubrane czarno, zawsze zresztą są ubrane czarno, ale Anna dopiero teraz to widzi, nie płaczą jednak, czekają widocznie na Annę. - Twój rodzice nie żyją - mówią obie - byli bohaterami, teraz nie żyją. Śniła potem, że wlecze się za niemieckim oficerem, którego widziała wieczorem, a ten trzyma w obu rękach jej serce, które jej uprzednio wyjął, z daleka słysząc muzykę czy hałas lub może gwizdy i już to samo wystarczyłoby aby sen był przerażający.

Wojna się wreszcie skończyła i resztki, smętne i zawszone zagubionej rodziny odnajdywały się. "To jest Anno twój kuzyn - powiedział wuj Eustachy - jedyny - dodał z naciskiem - mam nadzieję, że będziecie się przyjaźnić". - Poprzedniego dnia ciotka Rozalka bardziej uroczyście niż przed niedzielną sumą prawiza: - Pamiętaj, że oni w sposób koszmarny przeżyli wojnę, uprzyjemnij mu czas, m u s i s z brać wzgląd...

Szli tedy grzecznie jedno przy drugim, nad Wisłą połyskującą szaro i metalicznie pod niebem chłodnym i dalekim. Chłopak był ponury, wyrosnięty nad wiek rozbiegane oczy i brudne kolana: - taka jesteś duża - powiedział patrząc w bok - ile masz lat? - dziesięć - mruknęła Anna nadąsana i zła, - a ty - ja mam osiem, ale ty wyglądasz staro - dodał i Anna nie namyślając się zwiniętą w pięść dłonią huknęła go w głowę, oddał natychmiast i oboje zwałili się na wilgotny piach; chłopak potoczył się ku wodzie i Anna krzyząc schwyciła go za włosy. "Boże, ciotka Rozalia, zabiłaby mnie chyba, gdyby się ten tu utopił". - Chcesz się utopić, głupi? - Ja bym nie utonął, bo umiem pływać. - To gdzieś się nauczyłeś, w czasie wojny? - zakpiła. Wtedy zaczął rozbierać się szybko z furją i Anna niemierniej wściekła zrzuciła spódniczkę, bluzkę i pantofle i nie bacząc

na nic runęła do wody, chłopak w bezpiecznym od niej oddaleniu rozpryskiwał wodę drętwiejącymi z zimna palcami. Usiedli potem na wielkim kamieniu.

- Wiesz - szcękając zębami powiedział chłopiec - ja na pewno umrę, bo ja się łatwo przeziębiam, a ty dostaniesz za to lanie.

Czy przypadkowe zetknięcie kolorowych szkiełek w kalejdoskopie to zdarzenie? Właściwie to nie było żadnego zdarzenia. Było to jak temat w symfonii, dyrygent podnosi batutę, wszyscy wstrzymują oddech i... zaczyna się. Na tutti przewala się głos bębnow i trąb, potem po bohaterskim wstępie wszystko ucisza się i w przejmującą ciszę sali wpływa spokojny, skromniutki, przez skrzypce podjęty pierwszy temat. I jak złota ~~nitka~~ nitka w misternym hafcie, ciągle nikiąc przewija się przez całość. Czasem załśni, zamigocze, rozbłyśnie rozlewnie w drugiej części, aby pochłonięty przez rześkie czerwienie i błękity części trzeciej echem rozlegnąć się w ostatnim grzmiącym akordzie. - Potem jakiś meloman podnosząc wieloznacznym gestem palec, mówi do drugiego: "panie, najważniejszy to ten pierwszy temat, rozumiesz pan?"

To właśnie chciałyby powiedzieć tym cepom, co to są jej rodziną, a których przewidywania zawsze się spełniają. Powiedziałyby do nich: słuchajcie durnie, zrozumcie to w końcu, że najważniejszy jest ten pierwszy temat. A oni siedząc tak w równych rzędach, tak jak ich posadziła, przybraliby tę swoją charakterystyczną minę i... no i poszliby do domu.

Anna przebiega w myślach tamten czas i widzi siebie i Jana, wołali na niego Jasiu, choć na nią zawsze mówili twardo: Anno - widzi więc ich oboje tego dnia, wiosną, kiedy to trzymając pod pachą mokrą bieliznę biegli do domu, a ona postanowiła w duchu, że ucieknie jeśli Jasiu poskarży; i drugi moment na dworcu. Jasiu z rodziną po trzech wspólnie spędzonych latach wyjeżdżał na stałe. Były wakacje, dzień upalny i senny, na stacji pachniało kurzem, pociąg wtaczał, przetaczał, gwizdał. Jasiu trzymał rękę Anny i z głową odwróconą na śmiesznie wygiętej szyji podrygiwał.

- Czego beczysz - zapytała szorstko.

- Nie wiem - bezradnie wzruszył ramionami.

Na moment przed odjazdem pociągu wyskoczył na peron, zarzucił Annie swoje kościste ręce na szyję, przywarł do niej i czerwony, z rozwianymi włosami wskoczył do odjeżdżającego pociągu.

- Będę pisał do ciebie listy, zawsze!... krzyknął przez okno.

Następne lata są wielkim monologiem Rozalii, przy aprobującym wtórze babki, Rozalia jest niewyczerpana w pomysłach, jej żywotność wprost kipi, zaraża wszystkich, wypisuje długie epistoły do najdalszych pociotów, Rozalia niczym grzmot toczy się przez trudne problemy pedagogiczne, a powierzona jej opiece ofiarę ciągnie siłą ku szczytom, na jakich to ona sama króluje, a wszystkie stopnie tam wiodące zbudowane są z zasad niewzruszalnych, Rozalia nie zna rozterki, ciotka Rozalia posiada pewność co czynić należy: Oto twoja matka - powiada do Anny błyskającej czarnymi oczami niczym zły pies - była cicha i pokornego serca, wcielała w czyn wszystkie chrześcijańskie cele, prawie święta, w szkole żadnych przykrości, same wyróżnienia, nagrody - i już ciszej dodaje - no i mogła wytrzymać z twoim ojcem, męczennica!

Stoją obie przed długim rzędem fotografii większych i mniejszych - nasi drodzy zmarli - powiada babka - a doczesne i blaknące wizerunki zmarłych przybrane gałązkami jedliny zimą, fiołkami wiosną, krzywią się martwymi uśmiechami i wzbudzają w Annie grzeszną nienawiść, już nigdy się nie zmieniają wyposażeni w same zalety, "wszyscy królują tam w niebie" mówi ciotka Rozalia celując

gwałtownym ruchem wprost w sufit - wszyscy kupą są w tym niebie? -
rzuca Anna - Jezus Maria - syczy ciotka - Jezus Maria - wychodzi
trzaskając drzwiami - Anna słyszy ją mówiącą do matki: - ja już tego
nie wytrzymam mamó, nie pójdzie za karę przez cały miesiąc na sanki,
wrodziła się w ojca i musimy to przełamać, musimy! -

Zimny nos Anny przyklejony do szyby otwiera w mroźnych kwiatach
malutką przerębę, migają grube płyty śniegu, zasnuwające to niebo
wtedy ubarwione zachodem, a śnieg tłumi kroki co nie nadchodzą,
brzęczy jej natomiast daleki, nierealny fragment "Niedokończonej".

Gdyby mi się jednak udało ich wszystkich zebrać - myśli - i nie
koniecznie posadzić - ale zbić, ścisnąć w ciasną gromadę, jak powie-
działabym im o mężu, o ślubie? - Wolę już o tym nie myśleć o tych
początkach szczególnie. To może to pominiemy? - zastanawia się -
zapomnieli już zapewne jaki to krąg piekła otworzył się, kiedy wylali
mnie ze szkoły, i zaraz z tym przygłupim narzeczoną rąbnęliśmy przed
babką na kolana - pobłogosław nas babuniu - a babcia nie odwracając
głowy l e w a ręką machnęła nad ich głowami. Anna pakując swój
dobytek - nie weźmiesz fotografii matki? , dusi z siebie ciotka
Rozalka - nie - ucina krótko - no czego się ciocia tak nadyma,
przecież ciocia w s z y s t k o przewidziała.

I tak lewą przeżegnani wpadają w wir jaki wokół siebie czyni ów
 mąż - ach, przypomni im to, jak powie im, wykrzyczy w zdumione gęby,
 bo oni wszyscy, ilu ich tam jest, mają pamięć selektywną, jak to
 warczeli na niego, a babcia na ramiona przekupek na targu, na stosy
 warzyw - dużo tu ogrodów w dolinach pod miastem - kładła niekończące
 skargi o niewdzięczności, o bólu i: z takim to, pani rozumie...

Na marniutkim ślubie był jednak ktoś - zjechał niespodzianie
 wuj Eustachy, gniótł mocno nos Anny do swojej pachnącej lawendą piersi
 i powtarzał w kółko zawodzącym głosem: - Mój Boże, mój Boże, tyle
 czasu, tyle czasu...

Spotkanie z Jasiem było zupełnie przypadkowe, w mieście, w którym
 studiował, Anna szła ulicą i nagle dziki wrzask zelektryzował ludzi,
 z przeciwnej strony ulicy, ignorując samochody, milicję, wszelką
 władzę i przepisy, wrzeszcząc opętaniczo: A n n a , Anuśka... biegł
 Jasiu, a kiedy był już przy niej, podała mu końce palców siląc się
 na wytworny chłód. Zignorował zupełnie jej królewskie fochy i oto
 siedzieli już w jego pokoju na niewielkiej, staroświeckiej kanapie,
 patrzyła na obraz, ciągle z tym nieprzystępnym wyrazem twarzy.

- Przygnębiający obraz, Janie, to są korabie?

- Tak, rzeczywiście - powiedział machinalnie.

Obraz przedstawiał dwa czarne korabie, wielkie, na lśniłej i zupełnie gładkiej powierzchni jakiejś wody, stykające się bokami.

- Te korabie to tak jak my - powiedział Jasiu.

- Hm - prychnęła wzgardliwie..

Po powrocie Anna nie pytana komunikowała Rozalii, babce i reszcie:

- Wiecie, Jasiu mnie po prostu z a s y p u j e listami i tak rzeczywiście było może z rok lub dłużej aż nagle korespondencja się urwała i raptem Anna otrzymuje list od matki Jana - najbardziej z całej epistoły impertynencji utkwiło jej w pamięci zdanie: "deprawujesz młodego chłopaka ty, doświadczona kobieta" - chyba wszyscy w tej rodzinie mają pewne braki w umyśle - pienia się Anna i ukuła na ciotkę rym:

Ciotka tygrysica,
wyłączna właścicielka
syna - dziewica.

No tak, ulgi to ta poezja nie przyniosła, przygnała jednak Jasia, który bez wielkiego wysiłku oczarował całą rodzinę i pokrzywione ścieżki z maestrią geodety prostował. A bo też i szacunek u ludzi miał, dyplomy, fakultety, rozum i przyszłość. Syt chwały, prawymi rękami stokrotnie błogosławiony wyjechał.

I nawet księżyc złoty nie zdążył się odmienić a tu z nagłością kataklizmu spada wieść i zaproszenie zarazem na ślub. Jeszcze nie zdążył się rozwiać w codzienności, jeszcze tu jedną nogą tkwił, ale chyba tylko po to, aby ich kopnąć. I jej, Annie, nic nie powiedział, natomiast ona dzikie okrzyki ciotki Rozalki skierowane w nicość: kto na ten ślub pojedzie, no kto na ten ślub pojedzie?! skwitowała: ja na ten ślub pojedę! Jan, który się Anny nie spodziewał, prędko opanował szok - tak właśnie pomyślała Anna - i wołał do niej przez stół choć siedzieli w bezpiecznym oddaleniu:

- Anno, wyglądasz!

Nagle wstał od stołu ignorując całkowicie swoją żonę, takie nikłe chuchro angielskie, o wypłowiałych oczach i drobnych jasnych kędziorkach goniące za mężem zatroskanym wzrokiem, podszedł do Anny - uprzednio klasnął w ręce: no wstawajże od stołu - wziął ją za rękę i siłą zaciągnął przed wuja Eustachego.

- Wiesz ojczy - zaczął patetycznie - to jest ta dziewczyna... et - i machnąwszy ręką wepchnął Annę w drugi koniec pokoju.

- Nikt cię tak nie kochał jak ja, rozumiesz, nikt!

- Cicho, Jasiu, nie tak głośno...

- Mogę krzyknąć, mogę! Powiedz, że mnie kochasz!

- Jasiu zmiłuj się, toż przecież twoje wesela!

- Nie ma żadnego wesela! - Nie ma...

- Jasiu ty jesteś pijany...

- Głupstwo, jestem szczery. - Nie zapomnisz mnie, nie możesz zapomnieć, powiedz, nigdy nie zapomnisz mnie?

- Nigdy. Na pewno nigdy, ale teraz już pójdę!

- Nie, teraz zatańczysz ze mną. Halo, halo wszyscy, Rozalka chodź, napatrzysz się, teraz ja tańczę z moją ukochaną Anną.

Patrzcie wszyscy!

Krzycząc i wymachując jedną ręką, bo drugą trzyma Annę, tanecznym krokiem prowadzi ją na środek pokoju i zaczyna obracać ją w tę i z powrotem, a dostrzegłszy jakąś twarz wroga - wszystkie są wrogie - kłania się błazeńsko żonie, ciotce, matce, teściom. Jakiś młody człowiek, kolega Jana, odbija wreszcie Annę - a ja panią dobrze znam - powiada. Niepostrzeżenie, jak jej się zdaje, ubiera się i wychodzi, już jest w połowie schodów, kiedy u góry trzaskają drzwi i Jasiu jak szalony zbiega do niej.

- Idę z tobą - dyszy - idę z tobą.

Anna siada na schodach, Jan obejmuje jej kolana, ciągle coś gada, a nad nimi pochyla się nagle ten kolega, staje na rozkraczonych

nogach i jak worek podnosi Jana, mruczając: cholerny świat, sprowadzili tę dziwkę...

Anna zrywa się oszalała z gniewu, przed oczami ma czerwoną chmurę, wali na oślep, tamten wypuszcza Jana i upada na schody, ale podnosi się prędko i krzyczy:

- Ty... ty spływaj stąd!

Niczym figury z gabinetu osobliwości poustawiane w rozmaitych pozach tkwią na schodach, przechyla się przez poręcz straszliwie poblądła twarz wuja Eustachego, tam czerwony nos Rozalki, oniemiałe i usta i twarz dziewczęcej żony Jana. Jeszcze raz spogląda na nich, trochę dłużej na wuja Eustachego, ale ten już na nią nie patrzy i Anna zaczyna schodzić, jeszcze przy drzwiach dobiega ją okrzyk Jana: - Nie odchodź Anno...

Z całej siły trzaska ciężkimi drzwiami, pada śnieg, równomiernie, spokojnie, jakiś przechodzień idzie ulicą, Anna słyszy, lub zdaje się jej, że słyszy tamtą melodię, ale teraz nie gwizdaną tylko jak gdyby podjętą przez skrzypce i wtedy poznaje, że to Schubert.

Uśmiecha się z dumą: był muzykalny!